

Gdy słyszymy nazwę Bohol, zazwyczaj chodzi o wyspę Panglao, nieduży turystyczny przydatek do właściwej wyspy Bohol. Na Panglao znajdują się białe plaże (w tym najsłynniejsza, Alona), hotele i cała infrastruktura turystyczna. Na Boholu jest miasteczko (Tagbilaran) z przystanią promową i lotniskiem oraz wszelkie atrakcje niezwiązane z morzem i plażą.

Panglao jest rajem dla nurków, ale i prosty pływak z rurką i maską będzie się bawić znakomicie. Jedną z popularnych wycieczek jest rejs na położoną w pobliżu kolejną wysepkę zwaną Balicasag, gdzie znajduje się łatwo dostępna rafa koralowa, a nawet można zobaczyć pływające żółwie. Z pokładu łódki, tym razem o wschodzie słońca, można też podpatrywać delfiny. Wygląda to mniej więcej tak, że kilkanaście łódek z turystami rozstawia się w morzu, a jak który szyper-observator zobaczy jakiegoś delfina to dalejże sprintem na pełnym gazie w tę stronę (a wszystkie inne łódki za nim). Potem na bieg jałowy, aż znów ktoś zobaczy delfina, i tak da capo al fine (póki delfinom się nie znudzi). Mam dość rudymmentarną wiedzę z zoologii (słuch delfinów) i akustyki (propagacja fal dźwiękowych w wodzie), ale wyobrażam sobie, że terkot dziesiątek silników spalinowych jest raczej średnią atrakcją dla samych delfinów. No ale lepsze takie delfiny, niż te skaczące w oceanariach po ryby. Nota bene, nasz szyper tłumaczył, że to stadko, które widzieliśmy, to były "stare delfiny" (wnosząc z jasnego koloru skóry), więc niechętnie skokom i figlom. A może był to "Biały delfin Um" (ktoś pamięta tę bajkę?).

Na zmęczonych plażowaniem, albo (jak my) przypalonych, czekają inne atrakcje Boholu. Trzeba przyznać, że wyspa wykorzystuje niewielką ilość swoich naturalnych ciekawostek bardzo skwapliwie, rozbudowując wokół nich infrastrukturę. I tak rzeka Lobok obrosła w biznes łódek-restauracji wożących turystów (głównie zresztą koreańskich) do niedużego wodospadu. Przy brzegu pojawiły się "sceny", na których pokazywane są jakieś programy folklorystyczne, w tym tańce pomiędzy uderzanymi o podłogę bambusowymi kijami. Jeśli ktoś (jak my) woli podziwiać rzekę w mniejszym stadzie, ma do wyboru łódki indywidualne, tyle że już bez obiadu. Na wzgórzach nad rzeką i wodospadem zainstalowała się stacja "zip-line", czyli "przeloty" na linie na specjalnej uprząży. My czekaliśmy prawie godzinę na może minutowy lot, ale było to bardzo emocjonujące. Wrócić na drugi brzeg można już bardziej tradycyjnie, kolejką linową. Amatorzy adrenaliny mogą też pochodzić sobie przez bambusowy wiszący most.

Co do turystów - jako się rzekło, główną nacją są Koreańczycy, którzy nie cieszą się szczególną estymą tubylców, bo mają opinię hałaśliwych, aroganckich i nieliczących się z otoczeniem (coś jak Ruskie w Sharm-el-Sheikh albo Niemcy na Majorce?). Dobrą opinią miejscowych cieszą się za to Japończycy: że grzeczni, uprzejmi, wyciszeni, i zawsze przepraszający za wyczyny dziadków. Spotykaliśmy też sporadycznie Polaków, ale nie zawsze mieliśmy ochotę się do nich przyznawać.

Naturalne atrakcje wyspy Bohol to Wzgórza Czekoladowe i tarsjuszki. O tarsjuszach pierwszy raz usłyszeliśmy dawno temu w wierszu Wisławy Szymborskiej (choć wydawało nam się początkowo, że chodzi o jakiegoś chrząszcza) - stworzenie, najmniejsze z naczelnych, przypomina niedużą wiewiórkę bardziej niż małpkę i faktycznie złożone jest "z dwóch żrenic i tylko bardzo już koniecznej reszty". Dnie zwykle przesypia, więc dość łatwo jest doprowadzić turystów do odpowiedniego krzaka, żeby mogli popatrzeć i zrobić zdjęcia. Wybierając miejsce spotkania z tarsjuszami warto zwrócić uwagę na wymiar etyczny - na Boholu są "dobre" i "złe" rezerваты. Dobre, to znaczy stwarzające zwierzętom warunki zbliżone do naturalnych - bez stłoczenia, zamykania i sadzania turystom na palcu (jak u Szymborskiej). Międzynarodowe standardy spełnia właściwie tylko rezerwat w Corelli. Zresztą tak samo było w Tajlandii ("złe" i "dobre" tygrysy), na Sri Lance ("złe" i "dobre" słonie), tylko w Chengdu w Chinach nie ma wielkiego wyboru z pandami.

Terminem 'Wzgórza Czekoladowe' określa się pasmo wapiennych wzgórz o bardzo regularnych, stożkowatych kształtach, lecz nie do końca jasnej proveniencji geologicznej. Wzgórza porośnięte są trawą, głównie z gatunku *Imperata cylindrica*, która w porze suchej (sierpień) przebarwia się na brązowo, stąd nazwa. Pagórków jest ponad tysiąc (wysokości kilkudziesięciu metrów najwyżej), można je obejrzeć z punktu widokowego, ale także można pomiędzy nimi pojeździć quadami, co daje też dobry pogląd na florę, faunę oraz życie mieszkańców okolicznych wiosek.

Skoro już mowa o środkach lokomocji, specyficznymi dla Filipin pojazdami są jeepneye oraz motorowery z dołączonymi z boku przyczepkami-koszami, tak zwane tricycles (jak bicycle, ale z trzecim kołem). Historia jeepneyów zaczyna się wraz z końcem II Wojny Światowej, kiedy to Amerykanie zamiast wywozić używane jeepy i willysy z powrotem do Stanów, sprzedawali je tubylcom (za ówczesne 50 peso, co nie było szczególnie wygórowaną ceną). Jeden z miejscowych nabywców dostosował czteroosobowy gazik do realiów swojej filipińskiej rodziny (żona, piątka dzieci, teść, teściowa, szwagrowie) poprzez poszerzenie, a przede wszystkim wydłużenie kabiny - i tak powstał pierwszy jeepney. Później już poszło z górki, jeepneye (budowane z różnych improwizowanych materiałów, często też zdobione a'la Nikifor) stały się królami filipińskich szos i podstawowym środkiem transportu publicznego, zarówno w miastach, jak i na prowincji. Jeepneye na dwóch równoległych do osi pojazdu ławkach mogą pomieścić, w zależności od wersji, do dwudziestu kilku osób, dodatkowi pasażerowie mogą podróżować z tyłu (na forysia) lub wręcz na dachu pojazdu. Jeepneye mają na bokach opisaną trasę po której jeżdżą, ale nie mają wyznaczonych stałych przystanków.

Tricykle są rodzajem mini-taksówek dla miejscowych, za kierującym zmieści się pasażer, a w bocznym wózku jest miejsce na bagaż, inwentarz, ewentualnie dodatkowego pasażera, a nawet dwóch. Tricykle są też kontrastowo malowane, a

także stanowią "jeżdżącą biblię", bo każdy z nich ma na tylnej ścianie jakiś cytat (z pełnym uźródłowieniem). Trochę zastanowił mnie *Am I my brother's keeper?* ("Czyż jestem stróżem brata mego?") - byłaby to jakaś deklaracja problemów rodzinnych Właściciela?

Przekleństwem tych, którzy na Filipinach chcą odpocząć, są koguty, które pieją już nie tylko rano (jak utrwalił sobie każdy widz Teleranka), ale w zasadzie przez całą noc na okrągło. Póki nie zobojętnieje, człowiek czuje się, jak na fermie drobiu. Pieją po wsiach, pieją w miastach, nawet w samym centrum Manili też pieją. Kogutów jest mnóstwo, bo używane są tutaj do walk - łączących dwie jak najgorsze cechy (nie tylko chyba) tubylców, czyli okrucieństwo i chciwość (w walkach chodzi oczywiście o hazard). Nie szukaliśmy tych rozrywek, tak samo, jak i innych wątpliwych, a bardzo podobno popularnych lokalnie, w rodzaju walk bokserskich karzełków (choć, z dwojga złego, niech się już ludzie sami naparzają, a zwierzęta zostawią w spokoju).

Bohol dostarcza także różnych innych, mniej specyficznych atrakcji. Jest na przykład ferma motyli, gdzie można prześledzić cykl rozwojowy miejscowych gatunków, a także podziwiać dorosłe osobniki w trakcie ich krótkiego życia. Jest też w pobliżu (nie odwiedzaliśmy) klatka, gdzie trzymają największego w niewoli pytona siatkowego (a w zasadzie trzymali, bo zmarło mu się z przejedzenia, i teraz hodują następcę, ale do siedmiu metrów mu daleko).

Wzdłuż drogi prowadzącej do Wzgórz Czekoladowych rośnie dziesięć hektarów czegoś, co Filipińczycy uznają za atrakcję turystyczną i określają terminem "man-made forest" (las posadzony przez człowieka). Jest to plantacja mahoniowca (*Swietenia mahagoni*) posadzona w ramach programu zalesiania przez skautów siedemdziesiąt lat temu. Wygląda to dość majestatycznie, ale i posępnie - mahoniowiec jest gatunkiem obcym dla flory Filipin: gęste korony zaciniają ziemię tak bardzo, że nic nie rośnie w podszycie, nadto jeszcze opadające liście, rozkładając się wydzielają jakieś allelopatyczne trucizny niszczące lokalną roślinność. Trudno nam też było wytłumaczyć naszemu kierowcy, że *man-made-forest* to żadna atrakcja dla Europejczyka, gdzie wszystkie lasy (prócz jednego) są posadzone ręką człowieka.

W ogóle lasy Filipin pełne są roślin znanych nam z uprawy doniczkowej - trzykrotki, kordyliiny krzewiaste, medinille, pandanowce, krotony, skrzydłokwiaty, alokazje, i wiele innych. (O roślinach jadalnych napiszemy później.)

Jutro lecimy na wyspę Coron, gdzie atrakcji akwafluwialnych ciąg dalszy.